

NASZ PRZYJACIEL

DODATEK DO GŁOSU WĄBRZEŃSKIEGO.

Nr. 27.

Wąbrzeźno, sobota 4 lipca 1925.

Rok 2

Ewangelja

św. Mateusza rozdział 5, wiersz 20—24.

Onego czasu rzekł Jezus do Szymona i Jakuba, synów Zebedeusza, którzy byli ławiarzami: „Jeśli nie będzie obfitowała wasza więcej niż do teraz, przynajmniej idźcie do Królestwa niebieskiego. Szczęśliwie, iż rzeczono jest starym: nie będziesz zabijał, a kto by zabił, będzie winien sądu. A Ja wam powiadam, iż każdy, który się gniewa na brata swego, będzie winien sądu. A kto by rzekł bratu swemu „Raka“, będzie winien rady. A kto by rzekł głupecze, będzie winien ognia piekielnego. Jeśli tedy ofiarujesz dar twój do ołtarza, a tam wspomnisz, że brat twój ma nieco przeciw tobie, zostaw dar twój przed ołtarzem, a idź pierwiej zjednać się z bratem twym, a tedy przyszedłszy, ofiarujesz dar twój.

Murzyn niewolnik.

Pewien niewolnik, na jednej z wysp zachodnio-indyjskich, w krótkim czasie po przybyciu swem z Afryki, tak się zachowywał wiernie i przyzwocicie, że pan jego wskutek wielkiego zaufania podniósł go w plantacji swojej na wyższe stanowisko.

Pewnego dnia posłał go na targowicę, żeby wybrał dwudziestu niewolników, którychby zakupić było można.

Niewolnik pośród tłumu biedaków znalazł starego pokrzywionego człowieka. Wraca więc do swego pana i oznajmia, że sobie szczególnie życzy, ażeby kupić tego starca.

Pan zadziwił się bardzo i odmówił z początku jego prośbie; ale gdy Sambo nie przestawał go prosić coraz to usilniej, zezwolił wreszcie i kupił wskazanego sobie starca.

Gdy zakupieni niewolnicy przybyli do plantacji, przekonał się pan ku wielkiemu zdziwieniu swemu, że Sambo zajmował się zgrzybiałym Afrykaninem z największą troskliwością. Wziął go z sobą do domu, położył na swem własnym łóżku, a podawał mu przeznaczone dla siebie pożywienie. Gdy było chłodno, wynosił go na słońce, gdy było gorąco, kładł go w cieniu palm kokosowych.

Właściciel plantacji zaczął więc przypuszczać, że Sambo między niewolnikami odszukał swego

krewnego. Przywzrostek nie jest przypadkiem tał, czy nie?

— Nie jest moim ojcem, panie! — Odrzekł Sambo.

— Więc może bratem?

— Nie, panie!

— Może stryjem?

— Nie panie, nie jest nawet moim krewnym, nawet nie jest moim przyjacielem.

— A dlaczego — zapytał właściciel obchodzisz się z nim tak po przyjacielsku?

— Jest moim wrogiem, panie! — odpowiedział szlachetny Sambo. — On to był, który mię w Afryce sprzedał handlarzowi niewolników, a w naszych księgach świętych napisano: gdy wróg twój jest głodnym, nakarm go; gdy ma pragnienie, napój go! Opiekuję się więc nim, abym zyskał przyjaciela.

Astry.

Bzy już rozkwitty, barwne aksamitne,
na gorzkich prętach, pośród gorzkich liści
i przez gestwinę ich niebo błękitne
modrą koronką swą otchłań przejrzęści.

Porozkwitaty jablonie pachnące
i kwiat ich światłem słonecznym prześwieca,
jak położona na oczy pod słońce
rózanopalca, drobna dłoń kobieca.

Porozkwitają niebawem jaśminy,
jak odsłonięte kuszącym uśmiechem
perłowe zęby zmysłowej dziewczyny,
co pachnie rosą, młodością i grzechem.

Lecz wśród rozkwitów tych duszą zabłądzą
w jesienny ranek, co po nich się wysnił
gdy róże zamrą, jak cudowne żądze
i poczernieją krwiste usta wiśni.

I astry smętne swym oczym przypemne
jak w noc jesienną w gwiazdy patrzą cicho
lodygą swoją na ziemi przytomne,
lecz równe gwiazdom gwiazdzistą swą pychą,

I we fiolety wymarzonych kwiatów,
Zblakaną duszę niby ómę, zanurzę,
co syta ziemskich śniegów i szkarłatów,
bezwonne astry miluje nad róże.

E. Mataczewski.

CZARNY RYCERZ

Opowiadanie historyczne z XI wieku

27)

przez

WALEREGO PRZYBOROWSKIEGO

Obejrzała się dokoła i spostrzegłszy w kącie stojące dwie rohatyny, rzekła:

— Weźcie to, włóćcie w ogień, niech się rozpali do czerwoności.

Książd popatrzał, pokiwał głową, wziął rohatyny i milcząc zeszedł na dół.

Tymczasem po chwilowej przerwie słychać było znowu spinających się po drabinie napastników, — każde stąpięcie ich po szczeblach skrzypiącej drabiny dochodziło tutaj i... nakońcie rozległy się nowe uderzenia w okiennice. Pani Małgorzata chwyciła co żywo za włócznię i pchnęła nią z mocą w otwór okiennicy, ale... napróżno. Ostrze włóczni napotkało coś twardego i ze zgrzytem się zeslizgnęło. Widocznie rąbiący zatkał otwór tarczą, albo czym innym, żeby się tym sposobem przeciw uderzeniu zasłonić. Gdy pani Małgorzata z przerażeniem cofnęła włócznię, zewnątrz rozległ się dziki śmiech i głos:

— A co turkawki? mamy was teraz. Czekaćcie, zaraz nas obaczycie.

I jakby na potwierdzenie walił z całej siły w okiennicę, już nie toporem, ale młotem żelaznym. Okiennica trzymała się, ale widocznym było że niedługo, bo mur dzierzący zawiasy, coraz bardziej się sypał i odpadał.

Znowu Małgorzata załamała ręce i w niemej rozpaczce szeptała:

— Co czynić? wielki Boże co czynić?

Nagle przyszła jej jakaś myśl, bo skinęła na Miłoslawa i coś z nią szeptać poczęła. Miłoslawa wysłuchiwała tego i rzekła:

— Dobrze pani.

Wtedy Małgorzata chwyciła topór i stanęła przy okienku, a Miłoslawa poczęła wolno i ostrożnie odsuwać okiennicę. Nagle uchyliła ją trochę, pani Małgorzata podniosła oburącz topór, wysunęła się do połowy za okno i nim niewolnik mógł się spostrzedz, został tak potężnie ugodzony w głowę, że zachwiał się, rękami rzucił i padł jak długi na ziemię z drabiny. W tejże chwili pani Małgorzata cofnęła się, a Miłoslawa okiennicę zasunęła. Czas już był wielki, bo strzały i kamienie posypały się jak grad, dzwoniąc po żelaznej zaporze.

— Chwała Bogu! rzekła pani Małgorzata, siadając na skrzyni — chwała Bogu, ocalałyśmy na teraz. Wątpię, czy który osmielił się wleźć na drabinę.

Myliła się jednak. Wśród strasznej wrzawy, jaka podniosła się na widok tak śmiałego czynu zamkniętych w wieży kobiet, przekleństw i wymyślań, słychać było jak nowi napastnicy poczęli się spinać na drabinę. Szczęble trzeszczały coraz wyraźniej, coraz bliżej i za chwilę z pewnością rozlegną się nowe uderzenia w mocno już nadwężoną okiennicę.

Małgorzata powstała i rzekła:

— Dalej Świętochna i ty Miłoslavo biegnijcie na dół i przynieście ukropu, który już musi być gotowy. Poparzymy teraz zbójów.

Obie dziewczyny żwawo pobiegły, a Małgorzata poczęła spinać się po drewnianych schodach prowadzących na wierzch wieży. Otwór zamknięty był także żelaznymi drzwiami i niemało musiała się namęczyć pani Zembocińska, nim zdolała zardzewiałe poruszyć zasuwę. Otworzyła wreszcie drzwi z głośnym skrzypem, w chwili, gdy dziewczęta zjawily się niosąc dwa dymiące garnki. Weszły na wierzch zupełnie płaskiej wieży. Świt się już robił i niebo na wschodzie białeło i gwiazdy bladły.

— Ostrożnie, rzekła Małgorzata, żeby nas nie spostrzegli.

Pokładły się więc na kamiennej posadzce i pełzać poczęły ku brzegowi wieży, jak węże. Dwór dogasał już, dym rozlaził się szeroko i cała wieża drżała pod potężnymi uderzeniami w okiennicę.

Nakońcie dostały się do brzegu wieży, ogrodzonego dokoła zębatego blankami i pani Małgorzata wyjrzała ostrożnie.

— Trzeba posunąć się trochę na prawo, żeby być tuż nad głową rąbiącego. Żywo! żywo! bo okiennica nie wytrzyma.

Popelżyły więc parę kroków i Małgorzata znowu wyjrzała:

— Teraz dobrze! rzekła — dajcie ukrop!

Schwyciła garnek, wychyliła się i wylała wrzącą ukrop na oblegających.

— Łaj Świętochna! zawołała cofając się.

Świętochna to samo zrobiła.

Podniósł się straszny krzyk; uderzenia w okiennicę ustały. Oblegający spadali z drabiny, jak muchy i uciekali, co mieli sił, wijąc się z bólu, wydając okropne jęki.

— Uciekajmy! zawołała Małgorzata.

Co żywo więc skoczyły do drzwi, spuściły się na schody i zatrzasnęły za sobą żelazne wieże. Dobrze zrobiły, bo cały szczyt wieży zasypany został istnym gradem strzał i kamieni.

No! zawołała wesoło pani Małgorzata, — uczęstawałyśmy ich dobrze. Już teraz chyba nie wróca. Biegnijcie na dół z garnkami, niech książd warzy wodę ciągle, to najlepsza broń.

Przez chwilę zaległa cisza. Oblegający lekając się gorącej wody cofnęli się trochę od wieży i doehodził tylko głuchy szmer ich rozmów, jak brzęczenie pszczół w ulu. Małgorzata już myślała, że rzucili zamiar wzięcia wieży mocą i dziękowała Bogu, gdy nagle pod nią, na środkowym piętrze, od strony kościoła, to jest gdzie było główne wejście, rozległy się znowu potężne uderzenia. Widocznie na dach kościoła dostało się kilku niewolników i waliło we drzwi, bo uderzenie po uderzeniu padało, ze straszonym łoskotem i siłą nadzwyczajną. Wieża cała się trzęsła.

Małgorzata zerwała się na równe nogi i pobiegła na dół. Współcześnie zjawił się tu książd i obie dziewczyny, niosące garnki z wrzącą wodą.

— Nie bójcie się dziedziczko, wołał książd — damy sobie z nimi radę. Weźcie te garnki i idźcie na wierzch i lejcie na nich, a ja ich tu inaczej poczęstuję. Niech jedna z dziewczek ze mną zostanie.

Pani Małgorzata pobiegła ze Świętochną na górę, a książd zbliżył się do muru i coś tam, w pobliżu głównego okna w murze dłuhać począł. Po chwili ze zgrzytem odskoczyły małe

żelazne drzewiczki, ksiądz szybko się wychylił chwycił za wierzch drabiny, pchnął ją tak silnie, że spadła na ziemię, gniejąc i raniąc tych, którzy ją trzymali, lub na dole stali. Na dachu kościelnym zostało trzech napastników osamotnionych zupełnie. W chwili gdy ksiądz zamykał znowu małe okienko, wśród tych trzech rozległ się straszny krzyk.

— Dziedziczka ich poczęstowała [ukropem! mruknął ksiądz.

Jakoż napastnicy wyli jak opętani, skakali po dachu, jeden spadł, a dwaj drudzy wili się jak węże z bólu.

Miłoslawa słysząc to, żwawo skoczyła do kuchni, wróciła stamtąd, niosąc rozpaloną do białości rohatynę, otworzyła okno, wybiegła na dach i obu zbójów dźgając żelazem zrzuciła na ziemię.

Zwycięstwo było zupełne. Dzień się robił i zbójce wściekli, klnąc głośno, cofnęli się z dala od wieży i rozłożyli dokoła na polu.

XV.

Taran.

Po strasznej wrzawie zapanowała teraz dokoła wieży zupełna cisza. Słońce, które zawsze

jednakowo wschodzi, nie zważając na dołę lub niedołę ludzką, oświeciło okropny obraz zniszczenia. Ukryte za żelaznymi okiennicami, Małgorzata i jej towarzyski, patrząc przez okrągłe otwory, widziały wszystko jak na dłoni i dogorywające zgliszczu z dworu, z których czarny dym leniwie się podnosił i zapach spaleniśny rozchodził się szeroko i ogniska na dziedzińcu i na drodze, które chronią się od chłodu rannego, niewolnicy pozapalali i trupy, leżące dokoła wieży, a których nie miano czasu, a może nie chcieli sprzątnąć.

Miłoslawa naliczyła ich jedenastu, co świadczyło o dzielnej obronie niewiast, ale z postawy i ruchów niewolników można się było zarazem przekonać, że nie myślała Zembocina opuścić i że bądź co bądź będą chcieli wieżę zdobyć. Pozakładali wielkie ogniska, posiadli koło nich, pierli całe woły, barany, ptactwo domowe i wyrażali zamkniętym w wieży niewiastom pięściemi. Jeden nawet siedząc na koniu ni stąd ni zowąd zerwał się, przypadł pędem pod wieżę i wołał donośnym głosem.

Ciąg dalszy nastąpi.)

* G O S P O D A R S T W O *

— **Rola.** Mieć w pogotowiu wszystko, co potrzebne do żniw. — Kończyć podorywanie ugorów i koniczyn. Rozsiewać nawozy sztuczne pod oziminy. — Polewać gnojówki. Okopywać ziemniaki. — Naprawiać klepiska. — Porządkować stodoły i szopy przeznaczone na zboże. — Żniwa rozpoczynać o ile możliwości jaknajwcześniej.

— **Ogród.** Zbierać owoce krajowe, maliny, wiśnie, morele. — Przygotowywać konserwy owocowe. — Żywność, szczególnie mięso zabezpieczać od zepsucia; w razie braku lodowni przechowywać mięso w loszku, położonym w cieniu od północy. — Posprzątałe zagony warzywne zasiać szpinakiem, sałatą, późną rzodkiewką. — Zbierać nasiona. — Przecinać zbyt gęste korony drzew owocowych. — Zbierać wczesne owoce. — Podpierać gałęzie.

— **Obora.** Okna w stajni powinny być ciągle otwarte. — Podczas cieplej pogody pozostawiać inwentarz przez całą noc na pastwisku. — Badać stan kopyt. — Zrebięta odzwyczajają stopniowo od matek. — Odsadzone cielęta paść owsem i delikatnym sianem. — Krowom dojnym, gdy wracają z pastwiska, dawać przed dojeniem zieloną paszę. — Po wywiezieniu gnoju z owczarni posypać podłogę miałem torfowym i trzymać stale okna otwarte.

— **Pasieka.** Dalszy ciąg robót z czerwca. — Zapobiegać nadmiernemu zrojaniu się pszczół. — Roje spóźnione osadzać na gotowej robocie lub sztucznej węzie. — Podbierać miód lipowy. — Równać siłę pni przez dodawanie czerwiu. — Naklejać do ramek początki woszczyny. — Starać się, aby w pniach były młode, prawidłowe matki. — W domu robić [wino i gręstowe na miodzie i cukrze.

Angielski spokój.



— Kelner: Jeszcze jedno piwo dla nowego gościa.

Konmiści



tak to za nim szcękają...